



MOJE TATERNICTWO

Pisząc te wspomnienia tatrzańskie przekazuję również moje wrażenia na temat polskiego środowiska wysokogórskiego lat 1936–1957, ten bowiem okres jest mi znany raczej dobrze. Oczywiście jest to opowieść bardzo subiektywna, a co gorsza zamazana przeżyciami następnego niemal 50-lecia oraz nie najlepszą już pamięcią. Proszę to uwzględnić przy lekturze niniejszego tekstu oraz wierzyć, że starałem się w nim przedstawić – wprawdzie wybiórczo – „całą prawdę i tylko prawdę”.

Początek lat trzydziestych cechowało wybitnie sportowe podejście do taternictwa i silna rywalizacja środowisk, głównie krakowskiego i warszawskiego. Typowym jej przykładem była historia zdobywania zachodniej ściany Łomnicy. O czysto sportowym podejściu świadczyła też m.in. próba Wiesława Stanisławskiego wprowadzenia – po zdobyciu północnej ściany Żabiego Konia – skali „skrajnie trudnej” oraz jego pogardliwy stosunek do osiągnięć pionierów taternictwa. Takie wygórowane ambicje doprowadziły do śmierci Lidki i Marzeny Skotnicównych, Jadwigi Honowskiej i Zofii Krórowskiej, czy Wincentego Birkenmajera, a nawet samego Wiesława Stanisławskiego. Znalazły one również swoje odbicie w nieoficjalnej, satyrycznej broszurze „Tatapiernik”.

Po śmierci Stanisławskiego i Birkenmajera zaszły w środowisku taternickim wielkie zmiany. Z przyczyn oczywistych zanikła sportowa rywalizacja, gdyż dotyczyła głównie środowisk skupionych wokół tych dwóch wybitnych taterników. Ponadto zapanowało przekonanie, że w Tatrach nie ma już możliwości zdobywania nowych, sensownych dróg. Ich namiastką miało być m.in. „taternictwo horyzontalne” (np. trawers ze Zmarzłej Przełęczy, przez południową ścianę Zamarłej Turni, na Kozią Przełęcz) oraz zdobywanie tzw. pionowych trawników (np. północnej ściany Świstówki). W tej sytuacji najaktywniejsi taternicy skierowali swoją zorganizowaną działalność ku Alpom, Atlasowi, Andom, Ruwenzori, Kaukazowi i Himalajom, a nawet górom na Korsyce.





Czynnych taterników było niewielu. W Tatrach przebywały jedynie kilkuosobowe grupy z Warszawy (Maciej Zajączkowski, bracia Czesław i Jerzy Mierzejewscy, Zofia Kuleszyna¹, Róża Drojecka), Zakopanego (Staszek Motyka, Jan Sawicki) i Krakowa (Włodek Gosławski, Marian Paully, Czesław Łapiński, Kazimierz Paszucha) oraz ze Spisza (István Zamkovszky). Każda z nich miała Tatry całkowicie dla siebie, wszystkie działały niezależnie, nie utrzymując kontaktów. O swoich przejściach nic nie wiedzieli, nie istniały więc żadne bodźce do współzawodnictwa. Pod tym względem był to w dziejach taternictwa niepowtarzalny okres. Jedyny wyjątek stanowił wyścig Stanisława Motyki i Jana Sawickiego o pierwsze przejście południowej ściany Małego Kołowego Szczytu. Była to rywalizacja o tyle niezwykła, że dotyczyła taterników, którzy do tego momentu stanowili zgraną „dwójkę”. W tym też czasie rozpoczęto zorganizowane szkolenia amatorów wspinaczki – kurs dla dziewcząt szkół warszawskich (instruktorzy: Maciej Zajączkowski, Zofia Kuleszyna, Tadeusz Orłowski) oraz Szkółkę Wspinaczkową Staszka Motyki i Zosi Kuleszyny, prowadzoną na Hali Gąsienicowej.

W latach trzydziestych na szczególne wyróżnienie zasługuje działalność Zbyszka Korosadowicza. I to nie tylko z powodu jego licznych pierwszych przejść wybitnych i trudnych letnich dróg (np. północna ściana Małego Młynarza, wschodnia ściana Łomnicy, północno-wschodnia grzęda Mięguszowieckiego Szczytu, czy północno-wschodnia ściana Pośredniej Grani), lecz – przede wszystkim – dla jego wypraw zimowych. Był on bowiem niewątpliwie pionierem taternictwa zimowego. Początkowo chodził, głównie samotnie i na łatwiejsze drogi, zwłaszcza w okolicach Hali Gąsienicowej. Później atakował z powodzeniem tak wielkie ściany, jak północną Mięguszowieckiego Szczytu, Cubryny, Małego Kieżmarskiego Szczytu, Jaworowego Szczytu, czy Krywania. Był niekwestionowanym krajowym autorytetem w tej dziedzinie i – przenosząc w Alpy swoje doświadczenia tatrzańskie – odcisnął piętno na rozwoju polskiego alpinizmu.

¹Późniejsza Zofia Radwańska-Paryska.





Zbigniew Korosadowicz był niewątpliwie jednym z najwybitniejszych taterników, jednak – jak każdy – miał i słabe strony. Wspiął się poprawnie, lecz bardzo wolno. Z reguły chodził „na pierwszego” stosując czasem zbyt solidną asekurację. W lecie przejawiało się to gęstym biciem haków, używaniem równolegle dwóch (!) lin asekuracyjnych, a w zimie zabieraniem w ścianę pełnego sprzętu biwakowego, który trzeba było przeciągać na linie do kolejnych stanowisk asekuracyjnych. Zważywszy, że ówczesny ekwipunek był dość prymitywny i bardzo ciężki, wydłużało to niesłychanie czas pokonywania drogi.

Korosadowicz, jako najwybitniejszy i najbardziej doświadczony taternik zimowy, stał się też niepodważalnym wzorem dla członków ówczesnych wypraw (zorganizowanych przez Klub Wysokogórski wyjazdów) alpejskich. Przeniesienie w Alpy jego doświadczeń tatrzańskich niewątpliwie zahamowało na długie lata rozwój naszego alpinizmu. Dla przykładu: polska dwójka, choć tym razem bez Korosadowicza, na przejście grani Innominaty na Mont Blanc potrzebowała – co jest swoistym rekordem – aż pięciu [!] dni. Dopiero młode pokolenie powojenne, czerpiące z własnych zimowych doświadczeń tatrzańskich, dorównało najlepszym alpinistom europejskim.

Moje taternictwo nigdy nie miało charakteru sportowego, lecz raczej kwalifikowanej turystyki wysokogórskiej. W istocie stanowiło realizację potrzeby bezpośredniego obcowania z Tatrami. Są to bowiem góry unikalne w tym sensie, że łączą w sobie skały, jeziora, potoki i wieczne śniegi oraz obfitą, zawsze żywą florę. Dlatego stroniłem od schronisk – z wyjątkiem Roztoki, a po wojnie Morskiego Oka czy Kieżmarskiej Chaty, które traktowałem jako swoiste obozy główne.

Atmosfera w Roztoce była niepowtarzalna. Dzierżawcą był taternik, inżynier Roman Grabowski, lecz w schronisku gospodarowała jego matka, Mama Grabowska, traktująca taterników jak własne dzieci. Była dla nich wydzielona „kilkunastosiennikowa” izba, początkowo nr 18, a od 1938 r. – nr 9, a do całorocznej dyspozycji mieli indywidualne szafki do przechowywania sprzętu. Najdogodniej można było się urządzić opłacając ryczałt wyżywieniowy. Mama Grabowska oferowała go bowiem na zasadzie non profit, pokrywał jedynie koszty związane z jego przygotowaniem. W Roztoce czuliśmy się





Rok 1939, odpoczynek w Dolinie Czeskiej. Od lewej: Jerzy Panek, Tadeusz Orłowski,
Hanna Pomorska, Sławomir Dunin-Borkowski.



wszyscy jak u siebie w domu: nieskrępowani i należycie zadbani. Nie bez znaczenia była również bliskość przejścia granicznego, oddalonego od schroniska zaledwie o kilkaset metrów. Wielokrotnie wychodziliśmy wczesnym rankiem z Roztoki nawet na poważne drogi w okolicy Morskiego Oka i północnych Tatr słowackich. Morskie Oko było natomiast jedynie celem popołudniowych spacerów towarzyskich.

Wykorzystując konwencję polsko-czechosłowacką spędzaliśmy całe tygodnie w górach, nocując w kolebach, rzadziej w namiocie, po zmierzchu grzejąc się przy ogniu palonego suszu kosówek. Dnie poświęcaliśmy penetrowaniu terenu wysokogórskiego: od najłatwiejszego do skrajnie trudnego. Zawsze z pełną satysfakcją, bez względu na poniesione trudności. W okolicach Morskiego Oka korzystaliśmy z koleby w Kotle Mięguszowieckim, ze zbudowanej przez nas pod północną ścianą Mnicha, w Dolinach Kaczej i w Czeskiej, w Żabich Stawach Białczańskich, w Czarnej Jaworowej i Sławkowskiej.

W latach wojny wspinało się zaledwie parę zespołów, głównie z Zakopanego, Warszawy i Krakowa, gdyż przebywanie w strefie przygranicznej było zakazane i łączyło się ze znacznym ryzykiem, co najmniej z zesłaniem do Oświęcimia. W praktyce nie było między tymi zespołami żadnego kontaktu. W latach 1941–1943, dla bezpieczeństwa wyskakiwaliśmy z pociągu tuż przed stacją w Zakopanem i omijając śródmieście, udawaliśmy się wprost w góry. W 1942 roku poszliśmy na Halę Gąsienicową, gdzie zorganizowaliśmy sobie kryjówkę na wieżycze w Murowańcu. Jeśli się zachowywało cicho i po wejściu przez klapę w podłodze wciągnęło drabinę, ryzyko było niewielkie. W tym też czasie zdecydowaliśmy z Wilkiem (Wilhelmem) Brachem i Zbyszkiem Korosadowiczem – gdyż ten ostatni jako kierownik TOPR (wówczas Tatra-Bergwacht) był dobrym parawanem – na parodniowy, nie pozbawiony jednak ryzyka, wypad do Morskiego Oka. Zostaliśmy tam przychylnie potraktowani przez pana Skrockiego [?] kierującego schroniskiem z ramienia Alpenvereinu. Dla pewności wychodziliśmy w góry wczesnym rankiem i wracaliśmy dopiero po wyjeździe niemieckich przybyszy z Zakopanego. Wówczas nikt – poza personelem – w schronisku nie nocował. W dzień jednak pojawiały się nie-liczne wycieczki niemieckie, niekiedy w towarzystwie gestapowców.





W tym czasie miałem dwukrotnie sposobność wspinania się ze Zbyszkiem Korosadowiczem, a to przy próbie pierwszego przejścia północno-wschodniej ściany Mnicha oraz nowego wariantu na południowej ścianie Zamarłej Turni. Były to unikalne i w gruncie rzeczy zabawne sytuacje. Obaj z zasady nie wspinaliśmy się „na drugiego”. Przez większość czasu trwały więc – już po podejściu pod ścianę – spory o pierwszeństwo na linie. W obu przypadkach, po wypaleniu paru papierosów i długotrwałych debatach, kończyło się na tym, co z góry było wiadomo: prowadziliśmy na zmianę.

W 1943 roku, otworzyły się dla mnie i Wawrzyńca Żuławskiego nowe możliwości. Dzięki życzliwości Jaszcza (Jana Alfreda Szczepańskiego), który był urzędnikiem Alpenvereinu w Krakowie, uzyskaliśmy na piśmie oficjalne skierowanie w Tatry dla dokonania przeglądu stanu tamtejszych dróg turystycznych. Mieliśmy więc zezwolenie na pobyt w Tatrach, a ponadto zaprzyjaźnionego gospodarza schroniska w Morskim Oku. W osobnej chatce, tzw. kurniku, urządziliśmy sobie na pięterku coś, co przypominało bardziej kolebę lub namiot, niż pokoik. Dla bezpieczeństwa wycięliśmy w ścianie szczytowej od strony jeziora okienko, przez które w razie potrzeby można było zjechać po linie wprost na ścieżkę poniżej południowego brzegu moreny. Już po paru dniach skorzystaliśmy z tego wyjścia umykając przed zakopiańskimi gestapowcami, którym nie spodobały się nasze nieogolone twarze. Na szczęście przyjechali do Morskiego Oka w celach turystycznych osobowym samochodem, nie mieli więc możliwości zabrania nas do Zakopanego dla sprawdzenia dokumentów. Nie czekając na wyjaśnienie legalności naszych papierów, zjechaliśmy przez okienko na morenę i uciekliśmy przez Rysy na Wagę. Tam zagospodarowaliśmy się w pustym schronisku. Po paru dniach dołączyli do nas Zosia Kuleszyna i Henryk Konczykowski, pracownik Tajnych Wojskowych Zakładów Wydawniczych, w których litografie dla prasy podziemnej tworzyli wybitni taternicy, bracia Czesław i Jerzy Mierzejewscy. W ich pracowni, ukrytej w piwnicy domu przy ul. Dantyszka 12, wykonywaliśmy litografie dla podziemnego „Taternika”. Pod wpływem jego lektury Henryk zapragnął poznać Tatry, więc zabraliśmy go z sobą. Wczesnym rankiem trzeciego dnia pobytu zostaliśmy zaskoczeni przez grupę gospodarzy – Słowaków. Na szczęście znali nasze nazwiska i nie tylko zezwolili na dalszy pobyt





w schronisku, ale nawet następnego dnia – widząc nasze skromne zapasy, a właściwie ich brak – przynieśli nam dużo pierwszorzędnego jedzenia. Zawsze będę za to wdzięczny ich kierownikowi – Alexandrowi Hubie.

Korzystając z gościnności naszych słowackich przyjaciół pozostaliśmy jeszcze parę dni w schronisku. Chodziliśmy zawsze w nieznane dla nas dotąd okolice, nie oglądając się na skalę trudności. Jedynym wyjątkiem było przejście północnej ściany Galerii Gankowej. W 1939 roku zrobiliśmy, z Włodkiem Gosławskim, pierwsze przejście jej środka na raty, teraz chciałem przejść ją za jednym zamachem. Z tego dnia zapamiętałem zabawny epizod. Wyszliśmy z Wawrzyńcem rankiem, prawie na czczo (było to przed dostawami od Huby). Mieliliśmy tylko kanapki, które zamierzaliśmy zjeść przed wejściem w ścianę. Jednak na Wadze spotkaliśmy wygłodniałych Zbyszka Korosadowicza i Jerzego Wicherkiewicza, którzy biwakowali w północnej ścianie Żabiej Turni Mięguszowieckiej. Oddając im kanapki zostaliśmy bez jedzenia, nie licząc paru kostek cukru, które Wawrzyniec miał w kieszeni. Niestety w połowie ściany złapała nas taka ulewa, że cukier wypłukała.

Z lat wojennych na specjalną uwagę zasługuje działalność Czesława Łapińskiego i Kazimierza Paszuchy. Byli pionierami stosowania na szeroką skalę sztucznych ułatwień wspinaczki. Tą techniką pokonali jako pierwsi wspaniałe drogi na ścianach Mnicha, Kazalnicy i Galerii Gankowej. Ich działalność pozostawała nieznana w okresie wojennym i zyskała sobie należyte uznanie dopiero po wojnie.

Gdy po upadku Powstania Warszawskiego, z powodu całkowitej dekonspiracji trzeba było szukać nowych dróg kontaktowych z Londynem, nasz ówczesny przełożony, szef kontrwywiadu Delegatury Rządu na Kraj, Janek Zborowski polecił mi zorganizowanie drogi przerzutowej przez Tatry i Słowację na Węgry. I tu przyszli nam z pomocą krakowscy taternicy. Jan Alfred Szczepański wydelegował mnie do Morskiego Oka – nie wiedząc zresztą o co chodzi – w charakterze nadzorca schroniska z ramienia Alpenvereinu. Staszek Siedlecki z racji swoich jeszcze letnich znajomości z powstańcami słowackimi, obiecał pośrednictwo w nawiązaniu z nimi łączności. Jego koledzy, Witek Ostrowski, Jurek Piotrowski i Zbyszek Hegerle pomogli przy odpowiedniej adaptacji piwnicy w schronisku na tajną drukarnię – bo tak określiłem im swoją misję.





Profesor Orłowski w Tatrach (rok 1939)



Na początku stycznia przeszliśmy ze Staszkiem przez Rysy i Wagę do Popradzkiego Jeziora, gdzie spotkałem się z delegatem słowackich powstańców. Ten, gdy dowiedział się, że reprezentuję Delegaturę rządu londyńskiego natychmiast wycofał się z dalszych rozmów. Jego argumenty były trudne do podważenia: na Słowacji są już wojska radzieckie, a czechosłowacki rząd z pewnością nie będzie chciał pomagać polskiemu rządowi w Londynie, który nie jest uznawany przez ZSRR. Wiadomości tej nie zdążyłem przekazać Zborowskiemu, gdyż w drodze do Warszawy zostałem lekko ranny w pociągu w Częstochowie. Było to 12 stycznia 1945 roku – pierwszego dnia ofensywy sowieckiej. Okrężnymi drogami powróciłem przez góry do Morskiego Oka. O „wyzwoleniu” Zakopanego dowiedziałem się dopiero pod koniec miesiąca, gdy w drodze po zapasy, tuż za Łysą Polaną, minąłem wojskową ciężarówkę z rejestracją pisaną cyrylicą. W samym Zakopanem przeżyłem wstrząs, gdy z licznych plakatów dowiedziałem się, że jestem akowskim „zapluty karmel reakcji”. Po powrocie do schroniska zlikwidowałem natychmiast wszelkie dowody swej działalności, zakonserwowałem pistolet i rewolwer w resztkach flagi hitlerowskiej i ukryłem je pod maliniakiem, gdzie najprawdopodobniej nadal spoczywają. Rozbrojoną bombę plastikową Czesław Łapiński wrzucił do jeziora. Teren pozostał więc czysty, nie licząc przerobionej piwnicy i pozostałych na ścianach śladów po kulach w miejscach, gdzie wisiały portrety wodza III Rzeszy.

Z punktu widzenia taternickiego, mój pobyt w Morskim Oku nie był udany. Większą część czasu spędzałem samotnie, wychodziłem jednak łatwymi drogami śnieżnymi na okoliczne przełęcze. Zabawnie zakończyła się próba przejścia północnej ściany Mięgoszowieckiego Szczytu. Postanowiliśmy – z Witkiem Ostrowskim – dokonać go w alpejskim stylu, tzn. „na lekko”. Zgodnie z tym planem, wyszliśmy ze schroniska o pierwszej w nocy i w ciemnościach – oczywiście bez asekuracji – szybko podeszliśmy do kotła w ścianie, gdzie rozpoczynały się właściwe jej trudności, wymagające asekuracji. Okazało się jednak, że... nie mamy liny. Ja wziąłem do plecaka haki i karabinki, sądziłem przeto, że linę weźmie Witold – on z kolei był pewny, że to ja ją niosę w plecaku. [...]

Pierwsze lata powojenne nie sprzyjały uprawianiu na terenie Tatr nawet niekwalifikowanej turystyki. Początkowo przy schodkach zejściowych do Morskiego Oka znajdo-





wał się posterunek wojskowy, który zatrzymywał dowody osobiste turystów do chwili ich powrotu znad jeziora. Granica była zamknięta i dla jej przekroczenia należało dysponować paszportem, którego w praktyce nie można było uzyskać. Pozostawało zatem jedynie ryzykowne, i grożące w tamtej sytuacji politycznej poważnymi polityczno-karnymi sankcjami, nielegalne jej przekraczanie. Tym samym schronisko w Roztoce straciło swoje zasadnicze walory, głównym ośrodkiem taternickim stało się schronisko w Morskim Oku, sprawnie i niesłychanie życzliwie zarządzane przez Wandę i Czesława Łapińskich. Dziunia Łapińska z powodzeniem zastąpiła Mamę Grabowską i stała się najpopularniejszą osobistością w ówczesnym polskim świecie taternickim. Każdy czuł się w Morskim Oku jak we własnym domu.

Trudno mi się jednak było pogodzić z utratą możliwości wspinania się w pozostałej części Tatr. Mimo wszystko podejmowaliśmy ryzyko przechodzenia przez zieloną granicę. Ja, niestety, nie miałem zwykle szczęścia. Początkowo wszystko zapowiadało się dobrze. Wraz z moimi trzema towarzyszkami spędziliśmy około 10 dni w kolebie w Dolinie Kaczej. W dni pogodne przechodziliśmy okoliczne drogi, od łatwych do nadzwyczaj trudnych. Znaleźliśmy wówczas z Danką Schiele pod wierzchołkiem Zadniego Gierlachu szczątki rozbitego samolotu sowieckiego. Z oczywistych względów powiadomiliśmy o tym Horską Służbę anonimowo. W dni deszczowe moje towarzyszki czytały nam na zmianę przy świetle świeczki angielskie kryminały.

Niestety następne przekroczenie granicy nie powiodło się. Przeszliśmy z Jurkiem Piotrowskim i „Siasiem” Siedleckim przez Rohatkę i Czerwoną Ławkę do pustego wówczas Schroniska Terygo. Po delikatnym włamaniu się spędziliśmy w nim noc, by następnego dnia dokonać drugiego przejścia drogi Korosadowicza na Pośredniej Grani. Popelniliśmy jednak błąd, niebacznie pozostawiając w schronisku nieukryte nasze rzeczy. W rezultacie następnego dnia wczesnym rankiem zbudził nas graniczny patrol czechosłowacki. Na szczęście byli to młodzi Słowacy, którzy w pełni zrozumieli powody naszego nielegalnego pobytu. Ustaliliśmy przeto, że do naszego spotkania nie doszło, oraz że powrócimy do Polski przez zieloną granicę. Uzyskaliśmy nawet zgodę na przedłużenie pobytu o jeden dzień, dla umożliwienia nam zaatakowania dziewiczego wówczas środka zachodniej ściany Łomnicy. [...]





Po latach doszedłem do wniosku, że nasza droga jest więcej niż w 90% pierwszym przejściem, jedynie na niewielkim odcinku wspólnym z drogą Stanisławskiego. O odmienności jej górnej części miałem możliwość przekonać się również w rok później, w 1946 roku, w czasie przejścia górnego odcinka drogi Stanisławskiego, dokonanego z Wilhelmem Brachem po kolejnej nieudanej próbie pokonania Hokejki. I tym razem przekroczyliśmy granicę nielegalnie. Na grani pod szczytem spotkaliśmy filanców², którzy wykazali pełne zrozumienie dla naszej obecności, a nawet nieoficjalnie zaaprobowali nasz projekt przejścia północnej ściany Małego Kieżmarskiego Szczytu. Zachęceni dotychczasową bezkarnością, wyruszyliśmy z Morskiego Oka poprzez Polanę pod Żabiem, Przełęcz pod Zadnią Kopą, Gałajdówkę, Koperszadzką Bramkę, Przełęcz pod Kopą i Przednie Kopreszady, do Zielonego Stawu Kieżmarskiego. To wielogodzinne przejście, związane z licznymi podchodzeniami i zejściami, wymagało znacznego wysiłku, zwłaszcza, że byliśmy bardzo obciążeni sprzętem taternickim i biwakowym. W sumie było tego ponad 35 kg na osobę. Szedłem nieco szybciej od Wilka i gdy dotarłem do Zielonego Stawu Kieżmarskiego korzystając z ciemności przystanąłem i – oczekując na towarzysza – oparłem na stojącym przed schroniskiem pustym stoliku tak bardzo ciężący mi plecak. Był to wielki błąd, który zniweczył nasze plany. Po chwili bowiem wyszedł ze schroniska młody człowiek i przekonawszy się, że ma do czynienia z Polakiem dźwigającym wyładowany plecak, wyraził chęć kupna przemycanych papierosów lub alkoholu. W międzyczasie dołączył do nas Wilek oraz dwóch innych Słowaków, którzy okazali się członkami patrolu granicznego i zatrzymali nas za nielegalne przekroczenie granicy.

Wydarzenia, które nastąpiły w schronisku wykazały dobitnie solidarność ludzi gór. Zarówno jego gospodarze, Štefan Kovalčík i Slavo Cagašík, jak również inni obecni w schronisku horolezcy znali mnie ze słyszenia. Po chwili całe towarzystwo podzieliło się na dwa obozy. Z jednej strony my i nasi nowopoznani słowaccy przyjaciele – z drugiej trzej osamotnieni filance. Pod wpływem swych rodaków byli skłonni wycofać się z pomy-

²Popularne określenie służby granicznej (Red.).





słu przekazania nas polskim władzom na Łysej Polanie. Obawiali się jednak, że wobec dużej liczby świadków naszego zatrzymania mogą narazić się na poważne konsekwencje służbowe. Wówczas ktoś z obecnych znalazł wyjście z sytuacji do przyjęcia przez obie strony. Postanowiono, że zostaniemy na miejscu ukarani grzywną. W razie przecieków filance mogliby tłumaczyć się, że ukarali nas nie do końca znając przepisy. Nie mieliśmy oczywiście koron, ale sprawę definitywnie rozwiązała składka przeprowadzona wśród naszych nowych słowackich przyjaciół. Niestety, musieliśmy się zobowiązać do natychmiastowego powrotu przez zieloną granicę. Nie udzielono nam zgody na zaatakowanie Małego Kieżmarskiego, w obawie przed zdekonspirowaniem w przypadku wystąpienia komplikacji w czasie zdobywania ściany, która wówczas cieszyła się złą opinią i nikt jeszcze nie pokonał jej za jednym podejściem. Slavo i Štefan namawiali nas wprawdzie do przeniesienia się do pobliskiej koleby, gwarantując nawet regularne dostarczanie żywności. Jednak uznaliśmy, że byłoby to niełojalne wobec życzliwych nam pograniczników. Z ogromnym żalem i mozołem powróciliśmy tą samą, wyczerpującą drogą do Morskiego Oka. Natomiast po kilku dniach z wielką satysfakcją gościliśmy naszych dwóch nowych słowackich przyjaciół w Morskim Oku, do którego nielegalnie doszli przez Rysy. Dla upamiętnienia naszej przyjaźni zrobiliśmy wspólnie nową drogę środkowym filarem północno-zachodniej ściany Żabiego Szczytu Niżnego.

Zgoła inaczej zakończyła się nasza nielegalna wyprawa podjęta w poszukiwaniu zwłok Andrzeja Nunberga. Zaopatrzeni w pisemny rozkaz kierownika TOPR, Tadeusza Pawłowskiego, przyjechaliśmy z Wawrzyńcem do Zakopanego i wraz z Krystyną Jakubowską, Witoldem H. Paryskim i Janem Staszlem udaliśmy się przez Rysy do Popradzkiego Jeziora. Następnego dnia z Janem Staszlem przeszukaliśmy – bezskutecznie – okolice górnych kilkuset metrów wschodniego filaru Ganku. Gdy wieczorem, znowu przez Rysy, powróciliśmy do Morskiego Oka, dowiedzieliśmy się, że jesteśmy poszukiwani przez Wojska Ochrony Pogranicza za nielegalne przekroczenia granicy. Koledzy z Zakopanego i Krystyna natychmiast powrócili przez góry do siebie. My z Wawą postanowiliśmy zaryzykować i czekać na rozwój zdarzeń. Jednak na wszelki wypadek powiadomiliśmy o wszystkim przebywającą w Warszawie Stefanię Grodzieńską, prosząc





o ewentualną interwencję w stolicy. W rzeczy samej, już o piątej rano następnego dnia zostaliśmy pod karabinami odstawieni na Łysą Polanę i tylko dzięki natychmiastowej reakcji Stefanii, z aresztu wyzwoliła nas telefoniczna interwencja „podjęta na najwyższym szczeblu” z Warszawy. Po nakarmieniu – to przysługiwało przecież aresztantom – zostaliśmy odwiezieni przez wopistów na stację do Nowego Targu, zdążyliśmy nawet na pociąg do Warszawy. Pozostali uczestnicy akcji TOPR-u nie byli już niepokojeni. Choć opowiadał mi Tadeusz Pawłowski, że mieli jednak trudności na cle, gdy przewozili zwłoki Andrzeja Nunberga.

Również i ostatnie nielegalne przekroczenie granicy omal nie skończyło się dla mnie fatalnie. Przed wyjazdem do Koreńskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, gdzie miałem zorganizować Szpital Kliniczny PCK, chciałem pożegnać moich słowackich przyjaciół. Umówiliśmy się na dwudniowy biwak pod namiotem w pozornie najbezpieczniejszym miejscu, bo w rzadko odwiedzanej Dolinie Żabich Stawów Białczańskich, łatwo dostępną z Morskiego Oka. Ku naszemu zdumieniu następnego dnia wczesnym rankiem pojawili się na naszym obozowisku funkcjonariusze słowaccy. Na szczęście nie wyszedłem jeszcze z namiotu i udało mi się w nim znieruchomieć na okres półgodzinnej pogawędki przybywszy z moimi towarzyszami. Zdążyliśmy jedynie z Harrym Rączem przejść symboliczną nową dróżką w grani Skoruśniaka i musieliśmy się na dłuższy czas pożegnać.

Po wojnie sytuacja polityczna wymusiła na nas usportowienie działalności górskiej. W praktyce oznaczało to uprawianie taternictwa „stadnego” na odpowiednio zorganizowanych obozach i kursach, a tym samym całkowitą likwidację bardziej osobistego obcowania z górami. Nie wspominam tych czasów z sentymentem, brałem w tym udział na zasadzie „lepsze to niż nic”. Choć przyznaję, że atmosfera na tych zgrupowaniach panowała bardzo dobra, a stosunki koleżeńskie były znakomite. Jednak brakowało bezpośredniego kontaktu z przyrodą i nawet minimalnej dawki całkowitej niezależności od otoczenia. Już sama konieczność przebywania „na bazie” w schronisku była dla mnie trudna do zniesienia. [...]

Na szczęście z czasem rygory na granicy rozluźniały się i znowu można było prowadzić – choć wbrew przepisom – „życie kolebowe” w dolinach Tatr słowackich. Naszą





Profesor Orłowski i Stefania Grodzieńska w Tatrach (rok 1939)



główną bazę w tych latach stanowiła Kieżmarska Chata, prowadzona przez Tonię i Arna Puškášów i Harrego Rácza, oraz koleby w Sławkowskiej i Czarnej Jaworowej, a także namiocik w Litworowej.

W Zielonym Kieżmarskim znalazłem się ponownie dopiero po paru latach. Tym razem legalnie, w towarzystwie kolegów z Klubu Wysokogórskiego. Postanowiliśmy dokonać pierwszego całkowitego przejścia drogi Stanisławskiego na Małym Kieżmarskim Szczycie. Wiesiek Stanisławski robił ją w sumie trzy dni, z biwakiem w dolnym kominie. Nie wiedzieliśmy wówczas, że całość przeszli już przed laty Marian Paully i Jurek Piotrowski. Plan był prosty: ścianę, największą w Tatrach, zaatakujemy z Jurkiem Mierzejewskim, natomiast pozostała część towarzystwa, tzn. Krystyna Jakubowska, Witold Trzeciakowski i Justyn Wojsznis, wyjdą grzędą na wierzchołek północno-zachodni i wyniosą przy okazji nasze kute, a więc potwornie ciężkie buty. W tych czasach bowiem pod ścianę podchodziło się w butach, tam się je zostawiało i wspinało w tenisówkach, poczym wracało po buty.

Wszystko zapowiadało się dobrze. Wysiłek przejścia nowej, naprawdę trudnej drogi jest dla pionierskiego zespołu znacznie większy, niż dla zespołów powtarzających tę drogę, którym odpadają trudności związane z wytyczaniem drogi oraz niepewność, co do możliwości pokonania najtrudniejszych jej odcinków. Ponadto są i drobniejsze ułatwienia, jak pozostawione przez pierwszy zespół haki czy też oczyszczenie chwytów z krużyzny. Nic więc dziwnego, że już po około trzech godzinach minęliśmy pierwszy biwak i wczesnym popołudniem byliśmy na Niemieckiej Drabinie, tuż pod głównymi skrajnymi trudnościami górnej części ściany. Wspinaliśmy się bardzo szybko, aż do momentu gdy – już w okolicy podszczytowej – nastąpiło gwałtowne załamanie pogody, zaczął wiać huraganowy, zimny wicher, połączony ze śnieżycą. Znajdowałem się wówczas na małym zachodziku pod przewieszonymi skałami. Haki stały się lodowato zimne, nie mogłem utrzymać ich w ręku. Przewieszki nad moją głową okazały się w tych warunkach nie do pokonania. Przypomniała mi się sytuacja z 1937 roku, gdy dałem się namówić na przeczekanie śnieżycy na wschodniej ścianie Mięguszwieckiego, mimo że dzięki łatwości terenu można było z niej łatwo uciec. Te parę godzin tak wyczerpało mojego towarzysza,





że w zejściu zmarł poniżej progu Doliny za Mnichem. Pomny tamtych wydarzeń, zdecydowałem o natychmiastowym odwołaniu. Miałem nadzieję, że pracując na cztery ręce z Jurkiem zdołamy wbijać haki zjazdowe i dotrzemy do łatwego terenu Niemieckiej Drabiny. Jurek – znakomity wspinacz i taternik, człowiek o ogromnej sile psychicznej, umysłowej i fizycznej – podobnie ocenił naszą sytuację i podzielił moją opinię. Na szczęście już po paru metrach zejścia – zanim dotarłem do Jurka – zorientowałem się, że znalazłem się na podobnej jak wyżej formacji skalnej, z tym że na lewym jej końcu przewieszki wydawały się znacznie mniejsze. Gdy udało mi się je pokonać, zobaczyłem przed sobą względnie mało stromy teren skalny, wiodący wprost na wierzchołek. Byliśmy uratowani. W drodze zejściowej poprzez Rakuską Przełęcz straciliśmy resztki naszych tenisówek i z przymusową lotną asekuracją, w samych tylko skarpetach dotarliśmy jeszcze za dnia do schroniska. Lina tak stwardniała i była tak splątana, że dopiero w schronisku mogliśmy się rozwiązać. Od tego czasu zawsze zabierałem w ścianę ze sobą buty, mimo ich wagi. Dopiero w erze wibratów stało się to niepotrzebne.

Po powrocie z Korei, korzystając z posiadanego paszportu, parokrotnie byłem po południowej stronie Tatr, głównie w Dolinach Czarnej Jaworowej i Sławkowskiej. Mieszkailiśmy w kolebach lub w namiociku, albo w gościnnej Kieżmarskiej Chacie. W tych latach poprowadziliśmy kilka nowych dróg, dokonaliśmy też – z Wawrzyńcem – ostatniego pierwszego wejścia szczytowego w Tatrach. Oczywiście nieświadomie. Z mojej ulubionej koleby w Czarnej Jaworowej wypatrzyłem kilkusetmetrową, a więc dużą – jak na Tatry – dziewiczą ścianę spadającą z Kapałkowej Grani w kierunku Śnieżnej Dolinki. Nie była trudna, lecz kulminowała w dość wybitnej, i jak się potem okazało, niezdobytej przez nikogo turni Kapałkowej Strażnicy, oddzielonej od Kapałkowej Grani wyraźną przełęczą. Ponieważ Kopałkowa Grań leży w mało zwiedzanej części Tatr, to choć Strażnica jest wprawdzie niewybitną, lecz samodzielnią jej odnogą, nikt nie wpadł na pomysł żeby na nią wyjść. Po długich studiach Witold H. Paryski uznał to za ostatnie pierwsze wejście szczytowe w Tatrach.

Obowiązki służbowe sprawiły, że na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych szereg zobowiązań międzynarodowych uniemożliwiło mi odwiedzenie Tatr. Potem wpa-





dałem czasem tylko na parę dni, zazwyczaj deszczowych, i błąkałem się samotnie po okolicach Doliny za Mnichem, Pięciu Stawów Polskich, Pańszczycy czy Piarżystej. Czasami wyskakiwaliśmy z Wandą Henisz-Kamińską na nietrudne wspinaczki w okolicy Hali Gąsienicowej i Morskiego Oka. Próbowałem włóczyć się samotnie po południowej stronie Tatr słowackich.

Niestety, próby dostania się w głąb niezagospodarowanych dolin nie powiodły się, Tatry stały się po obu stronach granicy całkowicie niedostępne dla bliskiego, bezpośredniego kontaktu. Tak więc moje prawdziwe przygody tatrzańskie, rozpoczęte w 1936 roku biwakiem w białczańskiej kolebie, zakończyły się po 18 latach pod namiotem rozbitym u stóp mojego ulubionego Żabiego Szczytu Wyżniego. [...]

W ostatnich latach pogoda nigdy mi nie sprzyjała. Mimo tego starałem się – oczywiście jedynie turystycznie i w miarę możliwości zdrowotnych – odwiedzać Tatry. Ograniczałem się do Morskiego Oka lub Smokowca, w którym gościłem u Toni i Arna Puškášów, a po ich przedwczesnej śmierci – do Starej Leśnej, będącej dobrym punktem wypadowym w słowackie Tatry. Jeszcze w latach osiemdziesiątych udało mi się pożegnać z Kamiennym Stawem, ze Staroleśną, Sławkowską, Batyżowiecką, Mięguszowiecką, Popradzkim Stawem. Przyjaciele z Horskiej Służby zawieźli mnie do mojego ulubionego Zielonego Stawu Kieżmarskiego, z którego wróciliśmy z Tonią i Arnem przez dolinę Koperszadów Przednich.

Ostatnie moje samodzielne szlaki taternicze przebyte w towarzystwie Arna to pierwsze wejście od strony południowo-zachodniej na Szarą Ławkę – łatwo i bez asekuracji – a z niej graniami na Skrajne Solisko, oraz bardzo trudny wariant na północnej ścianie Popradzkiej Kopy. Planowane turystyczne wyjście na Sławkowski Szczyt uniemożliwił świeży obfity opad śnieżny. Musiałem wracać. Pozostały za mną wspaniałe białe Tatry skąpane w słońcu. Jednak jeszcze w 2001 i 2002 roku udało mi się wyjechać kolejką na Łomnicę i na Łomnickie Ramię. Moi słowaccy przyjaciele już nie żyją, a moim najgłębszym pragnieniem jest wyjechać jeszcze choćby raz na Łomnicę oraz złożyć kwiaty na grobie Toni i Arna.

Z moich notatek wynika, że w sumie przebyłem bez szwanku w Tatrach Wysokich przeszło 1000 dróg. Większość z nich nie była trudna, nadzwyczaj trudnych i skrajnie





trudnych było nieco ponad 100. Największą satysfakcję dawało mi wyszukiwanie kilkudziesięciu nowych dróg i wariantów.

Ulice Warszawy okazały się dla mnie o wiele groźniejsze od najtrudniejszych nawet ścian tatrzańskich; niestety cała seria wypadków, których na nich doznałem, w praktyce mnie unieruchomiła. Jestem głęboko przekonany, że Tatry są – przynajmniej w lecie – o wiele bezpieczniejsze, jednak nigdy nie należy ich lekceważyć. „Nie lekceważcie dróg starych mistrzów” zwykł mawiać mój nieodżałowanej pamięci Przyjaciel Jerzy Wawrzyniec Żuławski. A w tym znaczeniu nawet zwykła droga „przez Chłopka” też jest „drogą starych mistrzów”.

Warunkiem bezpieczeństwa jest stosowanie się do pewnych zasad, takich jak dysponowanie należytych ekwipunkiem, pełne przygotowanie na niespodziewane zmiany pogody oraz odpowiednie postępowanie na każdym etapie wycieczki. Planując duże przejścia, zwłaszcza nowe, zawsze należy przygotowywać szczegółowy plan ewentualnego odwrotu z różnych punktów drogi.

Żelazną zasadą jest nieustanne pamiętanie, że im teren łatwiejszy, tym – paradoksalnie – bardziej niebezpieczny. Zwłaszcza bezpośrednio po wyjściu z trudności należy bardziej uważać przy zmianie każdego chwytu i nie zrywać z zasadą utrzymywania trzech mocnych punktów podparcia. Jeśli bowiem jeden z nich niespodziewanie się wykruszy, dwa pozostałe uratują życie wspinaczowi, który na ogół nie asekuruje się w takim terenie. Nieprzestrzeżenie tej zasady było przyczyną śmierci niejednego wybitnego taternika.

Oczywiście przy atakowaniu nowych, trudnych dróg zawsze trzeba się liczyć z możliwością odpadnięcia od ściany, jest to jedyny pewny dowód, że w konkretnej sytuacji dane miejsce jest nie do pokonania. Zanim znajdowałem właściwą drogę zdarzało mi się odpadać przy pierwszych przejściach, na przykład na Galerii Gankowej, w Kominie Świerza, czy na Żabim Szczycie Niżnim. Takie „zaplanowane” i odpowiednio ubezpieczone odpadnięcia nie są groźne. Zdarzały się jednak i niezaplanowane lub źle przygotowane. Już na samym początku nauczyłem się jednego: nigdy nie należy być biernym, lecz maksymalnie wykorzystywać każdą sekundę lotu. Zawsze dojdzie do zderzenia się





ze ścianą, za wszelką cenę należy więc starać się zachować pozycję pionową i nie dać się obrócić głową w dół. No i oczywiście należy mieć tę odrobinę szczęścia. Wylatujący z kominka w Turni nad Kolebą głaz, na którym się wyciągałem, a który udało mi się odruchowo zepchnąć na klatkę piersiową, w czasie naszego wspólnego lotu zdarł ze mnie wiatrówkę, sweter i koszulę, przeciął nowiutką linę, aby po paru metrach ściąć malutką, rosnącą na półeczce u wylotu kominka limbkę tak precyzyjnie, że zawisłem na jej pniaczku na pasku od spodni. Dzięki temu mogliśmy dokonać – zgodnie z planem – pierwszego wejścia zimowego na Turnię. W tym przypadku szczęście skompensowało moją złą ocenę stabilności bloku klinującego komin, a wynik lekcji jasny: nim użyjesz chwytu – sprawdź starannie jego moc.

Bardzo często o tym jak zakończy się wypadek decyduje szczęście. W 1941 roku pogoda była tak zła, że na wspinaczki wychodziliśmy prawie zawsze w deszczu. Tego dnia poszliśmy na drogę Stanisławskiego na Granatach. Było mokro, łatwo i nudno. Szliśmy z lotną asekuracją. W pewnym momencie zauważyłem wyłaniające się – z trawiastego w zasadzie terenu – urwiste żeberko skalne. Chciałem więc je dla rozrywki zaatakować. Ale że było ślisko, a ja byłem w kutyh butach, postanowiliśmy zastosować na tym odcinku trwałą asekurację, pozostawiając między nami jedynie kilkanaście metrów wolnej liny. Przygotowania trwały wiele minut i uzyskałem zgodę na ruszenie. Po pokonaniu paru metrów, obsunęła mi się noga i poleciałem, na szczęście na przeciwną, niż wyrwana siłą mojego upadku osoba mnie asekurująca, stronę żeberka. Oboje wyszliśmy bez szwanku z obsuwania się przez parę metrów po trawiasto-skalistym terenie. Jak dwie wiśnie zawiśliśmy po obu stronach żeberka. A wniosek? Szczęście szczęściem, lecz pewna asekuracja, to asekuracja zza haka lub bloku, a nie z wolnej ręki.

W czasie mojej działalności górskiej przebyłem ponad 1000 dróg wysokogórskich. Ale dzisiaj przede wszystkim brak mi nie wspinaczki, lecz możliwości przebywania we wnętrzu gór, biwakowania w ich kolebach oraz możliwości swobodnego poruszania się po ich pięknych graniach i ścianach. To wszystko jest już niestety całkowicie i na zawsze stracone, nie tylko dla mnie. Tatry mojej młodości już nie istnieją. Pozostały tylko fragmenty wspomnień tych czasów, które tak pięknie przedstawił w swoim





wierszu mój pierwszy towarzysz górski, Maciej Zajączkowski (cytuję po 65 latach, z pamięci):

*Nasze domki zostały gdzieś daleko w górach,
Wspaniały w skal zakłęty murach świat.
Nasze domki: koleby, szalasy, schroniska,
Czasem namiot biały naszej drogi ślad znaczący.
Przed naszymi domkami nieraz ogień błyska:
Pnie kosówek goreją pomiędzy wantami
Krwawiącą luną strzaskanych głazów oświetlając cmentarz
I iskry w niebo wyrzucając czarne.
Jak w Kaczej.... Pamiętasz?
Nad naszymi domkami słońce płynie złote
Promienie na nas rzucając gorące w straszliwą spiekotę
W Gorcach, w Pieninach, w Roztoce.
W nocy pomroce księżyc wędruje po grani
I na niej srebrzystą gubi poświatę.
A czasem przyjdzie ciemność tak straszliwa, gęsta i czarna,
Że wszystko się gubi, rozplywa i ginie w niebycie
I słyszę tylko serca swego bicie.*

Prof. Tadeusz Orłowski

Na podstawie artykułu Fragmenty wspomnień tatrzańskich opublikowanych w: „Pamiętnik PTT”, 2003, T. 12



